

Pelargonie

– ... i ona wtedy wstała i przez okno wyskoczyła.

– Tak przy wszystkich? Przy całej rodzinie?

– Tak, w niedzielę, podczas obiadu. Po prostu wstała, otworzyła okno i wyskoczyła.

Hela machnęła ręką tak, jakby otwierała okno i wyrzuciła obie dłonie przed siebie. Grube szkła okularów powiększały jej oczy. Stały we trzy obok skrzyni z pomidorami na targowisku Wolumen. Dzień był duszny, przygniatający, wokół nich kłębili się ludzie. Mówiła dalej, w pełni pochłonięta opowieścią.

– Nalata wszystkim rosotu, odłożyła chochlę do wazy i nikt nie zdążył łyżki do ust włożyć, a ona otworzyła okno i wyskoczyła. Jak gołąb! Tyle że w dół!

– Hela, skąd ty możesz wiedzieć, że ona przy rosole akurat skoczyła? – Jasia nachylała się nad swoim balkonikiem, którego gumowe kółka blokowały się na krzywych płytach targowiska. W koszyczku pod rączkami miała poupychane brokuty i marchewki, patrzyła na Helę podejrzliwie. Pół życia pisała depesze radiowe i zawsze chciała trzymać się faktów.

– No wiem! Bo mnie Witiak powiedział!

– A on to skąd wie?

– A on-to, a on-to! Widać wie, mówi, to wie! Zresztą, skoczyła to skoczyła, a że skoczyła to wiadomo, bo przecież na chodniku nawet widać.

– Na chodniku widać? Boże dobry, ale że krew? – Jasia pochylała się nad sterczącą natką marchwi, niedowierzała.

– Nie, rosół! Z rosółem na chodnik poleciała. – Hela złapała się pod boki i patrzyła na Jasię, jakby w życiu tak głupiego pytania nie słyszała. – No jasne, że krew widać! W płytę, w chodnik wsiąkło!

– Boże mój...

– No!

Czarny jamnik wysunął pysk spomiędzy nóg Heli i mokrym nosem obwąchał tydkę Wali. Z jego perspektywy kobiety w sukienkach i bluzkach, unoszonych ciepłym, lepkiem powietrzem pięły się w górę jak olbrzymie grzyby o wściekłych kształtach.

– Ja to ją nawet rozumiem – powiedziała spokojnie Wala, ale dobrze wiedziała, że wzbudzi kontrowersje i nawet czarny pantofel w przód wystawiła przekornie. Popatrzyły na nią obie, odchylając się w zaskoczeniu.

– No co tak patrzycie? Skoczyła, póki sama mogła zdecydować.

Udawały, że nie rozumieją, o czym mówi, ale wszystkie wiedziały, że Tarasiukowa miała zdiagnozowanego alzheimera. Walę dreszcz przechodził na sam dźwięk tej nazwy i nieraz zrywała się w nocy o czwartej, zawsze to było o czwartej, bo we śnie jej doktor Jędrzysowa ten wyrok oznajmiała. Pamiętała inną znajomą, dawną sąsiadkę

Jolkę Maciakową, jak z roku na rok klepki gubiła. Patrzyli na nią ze Staszkiem z mieszaną współczucia i przestrochu, że ich to samo może wkrótce spotkać. *O cię choroba, ta to już trzy po trzy plecie*, mawiał Staszek, gdy w końcu sobie Maciakowa z ich kuchni poszła i dodawał: *gorzej to tylko srać pod siebie*. O ile sąsiadka powoli, ale pewnie zmierzała ku jednemu i drugiemu, o tyle Staszka modlitwy zostały wysłuchane: cztery lata temu trafił nagłe do szpitala na płuca, a kilka dni później zmarł na zawał.

Wala zmarszczyła brwi, kropelki potu wystąpiły na jej górnej wardze.

– Takie życie, że nawet nie wiesz, kim jesteś, to co to jest za życie? – powiedziała i spojrzała na nie dobitnie. Oczy miała bystre, brązowe, jej donośny głos z łatwością przebijął się przez gwar targowiska. – I tylko rodzina się męczy.

– Ale to grzech! – zaperzyła się Hela.

– Śmiertelny! – dodała Jasia.

Wali przypominało się kazanie księdza Kwaśnika, prałata w jej parafii, które powiedział na pogrzebie młodego Perkoza, co z mostu skoczył. Mądrze wtedy mówił i pochować pozwolił. Próbowała sobie przypomnieć, jak to szło dokładnie, ale nie zdążyła, bo jamnik wyrwał się spomiędzy ich spuchniętych nóg i ujadął na małego kundla z dużą głową. Piwonie i szparagi wyleciały z rąk dziewczyny w turkusowych dresach, która próbowała odciągnąć swojego psa.

– Zbyszek! Na miłość boską, Zbyszek! – Hela chwyciła mocno za smycz, Zbyszek szczekał, warczał i krztusił się na naprężonym pasku. Kundelek nie pozostawał dłużny i zrobił się straszny raban, *Zbyszek, Benek, Zbyszek! Przestań, spokój! Weź pani tego psa, nie umi się zachować, niech w domu siedzi; kwiaty mi potamie! Nawet kagańca nie ma!* Trzask, spadł stoik miodu, *ludzie złoci*, dziewczynie udało się wciągnąć kundelka do alejki z proszkami do prania i elektropierdótkami.

– No i kto teraz za miód zapłaci? – spytała sprzedawczyni. W koszulce w cętki i z ogniem w oczach nie pozostawiała wątpliwości, że ktoś zapłacić musi.

Wywiązała się sprzeczka: *pan trącił, pan niech płaci; ale jak ja, to pies; pies nie trącił; ale pies napiera!*

Odgłosy kłótni cichły, kobiety oddalały się w stronę stoiska z ogromnymi biustonoszami i koszulkami z napisami *Paris*. Wala nadepnęła po drodze na urwaną główkę piwonii i zrobiło jej się przykro; to były jej ulubione cięte kwiaty. Jasia z trudem pchała swój balkonik po nierównych betonowych heksagonach. Twarze kobiet były rozgrzane emocjami, Heli aż zaparowały szkła.

– Żeś ty jamnika Zbyszek nazwała! Ale wymyśliła! Psom się ludzkich imion nie daje – powiedziała Jasia tonem wzmocnionym ludową tradycją.

– To wnusia moja wymyśliła!

Zbyszek, wciąż czujny i bojowy, stał na krótkiej smyczy przy jej grubej jak pieniek nodze; jego uwagę szybko odwróciły pęta kiełbas zwisające ze straganu obok. Aromat mięsa mieszał się z zapachem tekstyliów. Wala nic nie mówiła, tylko sapała ciężko, z trudem łapiąc oddech.

– W porządku, Wala?

– W po... rząd... ku... – wyświszczała astmatycznie, grzebiąc zaciekłe w torebce. Znalazła inhalator i zaaplikowała sobie podwójną dawkę. – Straszny... gorąc... dzisiaj... – wysapała po chwili.

– Duszno. Padać będzie – zaprorokowała Hela i chwyciła Zbyszka pod pachę.

– Oby! – zawtórowała Jasia.

Przychodziły zawsze z rana, bo później, w takie dni jak ten, gorąc był nie do wytrzymania. Sukienki, nawet najcieńsze, lepiły się do ciała, stopy puchły i buty cisnęły jakby diabeł w nie ogon włożył. Większość bywalców targu już dawno porzuciła elegancję na rzecz wygody, prym wiodły luźne spodnie, koszulki, sandały i chińskie crocysy, ale nie Wala. Tej soboty miała na sobie lekką niebieską sukienkę w delikatny kwiatowy wzór, granatowy kapelusz, duże złote kolczyki kształtem przypominające serca i czarne buty na szerokim, bardzo niskim obcasie – była dużą kobietą, więc nawet na ślubie nie miała wyższych butów. Jasia stylizacją poszła na kompromis, założyła prostą spódnicę w drobne, fioletowe kropeczki, dopasowaną do chustki przewiązanej na szyi i butki z licznymi przecięciami i otworami dla przewiewności. Hela była od nich młodszą i dała się uwieść wygodzie sandałów na grubej, gumowej podeszwie. W obcistej koszulce z cekinowym napisem *Armani Jeans* wyglądała, jakby wybierała się na autokarową pielgrzymkę do Lichenia.

Przy kiełbasach stanął tysiąc mężczyzna o surowym spojrzeniu, z doniczkami goździków w ręce, i samym swoim stanem rozniecił gniew Zbyszka. Pelargonie! Przypomniała sobie Wala, widząc rośliny. Pożegnała się z Helą i Jasią, każda poszła w swoją stronę. Jasia mozolnie pchała swój balkonik, a Hela przebiła się przez tłum z ciskającym gromy Zbyszkiem pod pachę.

Po drugiej stronie targowiska pan Jakub sprzedawał rośliny. Skrzynie doniczkowych kwiatów pokrywały beton, kwietne kulki zwisały ze stelaża jego namiotu. Był wysokim sześćdziesięcioletnim mężczyzną z twardym białym wąsem. Okulary-połówki zsuwały mu się ze spoconego nosa, co chwila musiał je poprawiać. Zawsze miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami, jeansy i czapkę Chicago Bulls z daszkiem wyptowiałym od słońca. Przez chwilę było mniej ludzi, więc przysiadł sobie w drzwiach swojego dostawczego renault i myślał o tym, jak bolą go plecy. Pogoda była męcząca, miał wrażenie, że powietrze rozpycha mu czaszkę od wewnątrz. Zapachy pelargonii i mięty, tak mu zwykle miłe, dzisiaj go mdliły. Ludzie byli marudni i zamiast kupować, tylko mu głowę truli, a on uśmiechał się i głową ni to kręcił, ni to kiwał – lata na targach sprawiły, że jego twarz stężała w wyrazie życzliwego zadowolenia. Zmrużył oczy i popatrzył w niebo: szare chmury zbierały się nad Wolumenem. *Niech lunie, pomyślał, ulewa dobrze zrobi roślinom i ludziom.* Niewiele dzisiaj zarobi, ale przynajmniej będzie miał święty spokój.

Wśród tłumy dostrzegł dużą, niebieską sylwetkę kobiety zbliżającej się w jego kierunku.

– Pani Walu! Jak miło panią widzieć! – zawołał autentycznie uradowany i uniósł się z paki dostawczaka. Wala była jego stałą klientką od ho, ho lat i doceniała jego wysiłki.

Tym razem przyszła po pelargonie. Pokazał jej kobierzec kwiatów w szerokiej gamie czerwieni i różu, nie mogła się zdecydować, wszystkie były piękne.

– Pana też ta pogoda męczy? – zapytała Wala. Odparł, że tak.

Patrzyła na główki pelargonii, okrągłe jak dmuchawce, i poczuła niepokój. Jej myśli odpląnęły na ulicę Andersena, pod balkon Tarasiukowej. Widziała jej pelargonie, dumnie kwitnące na ósmym piętrze ocieplonego bloczyska, i przejął ją smutek. Pan Jakub spojrzął na nią zafrasowany i spytał:

– O pani Tarasiukowej pani pewno myśli?

Potwierdziła i stali chwilę zasępieni.

– Kto by pomyślał, takie rzeczy. A jeszcze u mnie na Wielkanoc bukszpan i sasanki kupowała. Ale zdziwiony żem był, że na ten sezon po nowe pelargonie do mnie nie przyszła. – Wydął dolną wargę i pogładził główkę stojącej najbliżej rośliny. Wala pogrążona w myślach patrzyła na jej miękkie płatki. – Co roku nowe ze starymi mieszała.

Telefon zadzwonił w torebce Wali, prosty dźwięk przypominający stary elektroniczny budzik, ale ona go nie słyszała. Dopiero pan Jakub zwrócił jej na to uwagę.

Plastikowa skorupka starej nokia wibrowała i piszczała, ale Wala nie mogła znaleźć jej wśród kosmetyków, leków i Bóg wie czego jeszcze. Gdy w końcu wyciągnęła telefon, ten dzwonił głośno, jak na zbiórkę w wojsku, aż ludzie ze straganów obok patrzyli. Otworzyła klapkę i spojrzała na mały ekranik: dzwonił Błażej, jej wnuk. Imieniny wczoraj miała. *Wszystkiego najlepszego, babciu, dużo zdrowia, powiedział. Tylko zdrowia, wnusiu, zdrowie najważniejsze, przerwała mu. U babci wszystko dobrze? Po staremu, odpukać.*

– Może na obiad byś w sobotę wpadł? – dodała z nadzieją.

Po chwili ciszy usłyszała jego głos, zabarwiony tym samym strofującym tonem, jakim mówił jego ojciec Konrad i jakim ona sama kiedyś do Konrada mówiła, gdy powinien coś wiedzieć, a nie wiedział.

– Babciu, przecież mieszkam w Londynie.

Fala ciepła napłynęła w jej policzki. Wstydziła się takich pomyłek. Ostatnio sporo ich było.

– No tak, tak, wiem, myślałam, że może akurat u rodziców jesteś.

Błażej przemilczał, że rodzice i tak przecież w Wieliczce mieszkają, więc nie robi to różnicy.

– A u ciebie to wszystko w porządku? – spytała.

Powiedział, że tak. Bała się dalej drążyć, bo nie pamiętała, czy już skończył te studia, co tyle lat je robił, czy pracuje, czy obie rzeczy na raz, czy może żadnej; czy koleżankę jaką ma; czy do Polski wróci. U Błażeja zawsze wszystko tak szybko się zmieniało i nawet jak po polsku mówił, to rzeczy angielskie nazwy miały i niewiele z tego rozumiała. Błażej z kolei miał wrażenie, że nieważne, co powie, to jeśli spuentuje wypowiedź zwrotem: *ale ogólnie to w porządku*, to babcia będzie zadowolona i na tym zakończy rozmowę. Czasami na babcine pytanie miał ochotę odpowiedzieć: *A wie babcia, z pracy mnie wyrzucili, samochód mi psa przejechał, dziewczyna mnie zostawiła – ale ogólnie to w porządku* – i sprawdzić, jak zareaguje, jednak z szacunku nigdy takich żartów nie robił.

– To dobrze, że u ciebie w porządku. Miło, że o babci pamiętasz – zakończyła rozmowę, kupiła pelargonie i była już prawie jedenasta, więc z siatkami kwiatów na przystanek poszła.

Na autobus krótko czekała, wysiadła jeden przystanek wcześniej niż zwykle, zemdliła ją od zapachu spalin i całego tego trzęsienia, ale nie dlatego wysiadła. Wysokie pastelowe bloki po drugiej stronie szerokiej alei Reymonta wyglądały jak inne miasto dobudowane do jej ukochanych Starych Biel. Rozejrzała się po chodniku. Ani śladu. Ach, ta Hela, znowu coś zmyśliła. Spojrzała w górę, musiała mrużyć powieki, bo chociaż wszędzie były chmury, to niebo było jasnosiwie, przypominało folię przykrywającą hodowlę ogórków i raziło w oczy. Wśród setek szklanych prostokątów szukała okien mieszkania Tarasiukowej; łatwo było poznać po pelargoniach zawieszonych na rzymskim balkonie, ciemnofioletowych jak szaty księdza na Wielki Piątek, pięknych, chociaż nie tak okazałych jak zwykle, pewnie zesztorocznych. Ósme piętro. Ile to może być metrów? Staszek by wiedział. Ile to się spada? Sekundy, a jakby całą wieczność. Przypomniała sobie słowa księdza Kwaśnika po śmierci młodego Perkoza, których szukała w pamięci na targu: *Nikt z nas nie wie, co rozgrywa się w sercu człowieka, tylko Pan Jezus. Życie swoje zabrac chciał? Skoczył? Między mostem a wodą miał jeszcze dość czasu, aby prosić o Boże miłosierdzie.* Jej pierś unosiła się ciężko w tej duchocie. Jęknęła cichutko. Spozstrzegła, że brakowało jednej donicy. Rozejrzała się wokół. Były tam, pod ścianą upchnięte, kilka kwiatków z podkrywanyymi drobnymi korzeniami.

Pochyliła się nad nimi, przyszło jej to z trudem. Pozbierała pelargonie Tarasiukowej do swojej foliówki. Szeptala przy tym coś cicho, tak że tylko one słyszały. Żałobne, fioletowe łebki wymieszały się z jej białymi pelargoniami o różowych krawędziach płatków.

Do domu nie miała daleko. Przeszła między blokami i szła chwilę wzdłuż alei Reymonta. Minęła piekarnię, w której można usiąść, gdzie czasem kupuje sobie śniadanie, jajecznicę, bułeczkę i kawę za 15 zł, nie często, ale jak chce poczuć, jak to jest bywać we świecie. Weszła w uliczki właściwych Starych Biel, pomiędzy trzypiętrowe budynki o ceglanych fasadach i kwadratowych oknach. Stopniowo, kolejne z nich pokrywało styropianowe ocieplenie, puchły jak nabrzmiałe wodą, traciły detale i upodabniały się do pastelowych kłoców z drugiej strony ulicy.

Dwie kobiety przechodziły z naprzeciwka, jedna starsza, około osiemdziesięcioletnia, druga młodsza, pewnie jej córka, ale też już ewidentnie niemłoda. Córka trzymała matkę za rękę, mniejszą, o pomarszczonej, białej jak porcelana skórze i podobnie kruchą.

Wala pomyślała o swojej córce. Marysia mieszkała we Włoszech, przyjeżdżała raz na rok, na Wigilię, z tym swoim włoskim karabinierem, co ani słowa po polsku nie rozumiał. Wnuki tylko wtedy widywała, coraz większe, jak w animacji poklatkowej, przedszkole, kolejne klasy, musiała w notesie sprawdzać, ile mają lat. Może Marysia nie chciała przy niej być, bo zawsze wiedziała, że traktowali ją ze Staszkiem inaczej niż syna? Mniejsze oczekiwania, mniejsze możliwości, inne wymagania. Studia, hm, może, ale po co,

lepiej się domem zajmij, a jak na studia czasu starczy, to czemu nie. Młoda Maciakowej technikum ekonomiczne skończyła, w banku teraz pracuje, męża ma, a ty, w tym samym wieku jesteście, a ty? Ty, kiedy Marysia? I pojechała, do Niemiec, potem do Włoch i tak już została w tej Cysternie Latinie pod Rzymem. Pewno przez to nie wraca, wciąż ma jej za złe, *ty mnie mamie powinnaś rozumieć*, tak mówiła, *ale nigdy nie byłaś po mojej stronie*.

A Konrad? Zawsze miał od niej wszystko, a teraz mieszkał z rodziną w Wieliczce. Co z tego, że bliżej, jak też daleko. Może to dlatego, że kiedyś go... Nie chciała, nie chciała być jak jej ojciec, jej nigdy tego nie zrobił, ale jej braciom owszem, nie chciała, stało się, nawet nie pamięta powodu. Raz to było, miał osiem lat. Raz, a będzie pamiętał to zawsze, ona też pamięta, jak mu się oczy w tamtym momencie zmieniły.

Rączki toreb wpijały się w jej spuchnięte palce. Duszno było, chmur szarych coraz więcej, skłębionych nisko nad ziemią, ale wciąż ani kropli deszczu. Przystanęła i popatrzyła na swój balkon na trzecim piętrze. Wyróżniał się spośród innych, pełen zieleni. Pozostałe balkony były puste, szare, z leżakiem co najwyżej i martwymi pomidorami, po których jak nagrobki zostały sterzące kijki. Wala w wielkiej donicy miała świerk biały, którego drobne igiełki z poziomu ulicy wyglądały jak zielony puszek. W rogu stała kula bukszpanu, a w ciepłe miesiące wystawiała z mieszkania jukę o trzech dorodnych pniach. Girlandy bluszczu i kosze czerwonych nasturcji zwisały z drewnianego baldachimu, który zbudował jej Konrad. Na poręczach wisiały donice z kwiatami, pomarańczowe begonie, różowe petunie, wszystkie gęsto zakwitłe, o nazwach jak ludzkie imiona, a może to ludzie nazywali się jak kwiaty. Odetchnęła ciężko i wyszeptwała do siebie:

– Ech, za nisko...

Otworzyła kluczykiem drzwi wejściowe i weszła do obdrapanej klatki schodowej. Kiedyś to na ich klatce każdego znała. Na parterze pod jedyneką mieszkali Maciakowie, stary Maciak był brygadystą w hucie, aż na płuca zachorował, to go na oczyszczalnię przenieśli i tak do emerytury przerobił. Rok po przejściu na emeryturę umarł. Maciakowa wtedy sama została, mówiła, że chłop z nudów nogi wyciągnął i ją to samo czeka. Przychodziła do nich do kuchni na kawę parzochę i ploteczki, Wala lubiła te wizyty. Maciakowa zawsze wszystko wiedziała, ale z czasem coraz bardziej odklejona była, coraz większe głupoty gadała, powtarzała się i jak na kawę popołudniu przyszła to czasem i do teleexpressu siedzieć potrafiła. Staszek dość miał Maciakowej i do piwnicy wtedy schodził stare radia reperować. *Przez te radia to sobie oczy doszczętnie zrujnujesz*, mawiała Wala, wtórowała jej Maciakowa – i rację miały. Zanim mu operację na zaćmę zrobili, to Staszek widelca od łyżki nie odróżniał i dziwił się, że mu jarzynowa na obrus kapie.

Staszek z zawodu był elektrykiem i też kiedyś na hucie pracował. I chociaż pracy tej nie cierpiał, radia były jego pasją, początkowo z przymusu powziętą, żeby Wolnej Europie słuchać, później, żeby z nudów jak Maciak nie skończyć. Wali została się po nim stara eltra w kuchni, na stałe na program drugi ustawiona, ale nigdy jej nie włączała, bo muzyki klasycznej nie lubiła. Skąd się ten gust u Staszka na starość wziął, nigdy nie zroszczyła.

Pod jedyneką mieszkała teraz rodzina z małym dzieckiem, ale jedyne co, to *dzień dobry* mówili i to też nie zawsze. Maciakową córka kilka lat temu zabrała i w jakimś domu opieki bidula dogorywa. *W sumie to lepiej dla niej*, myśli sobie czasem Wala, *i tak nie wie gdzie jest, a tam sobie chociaż krzywdy nie robi*. Ostatni rok na ulicy S. coraz gorzej z nią było, raz garnek na gazie zostawiła, że się po całej klatce kopcilo, kilka razy do domu trafić nie umiała. Szła gdzieś i nie wiedziała po co, tylko gapiała się w przypadkowe drzewo, jakby jej miało powiedzieć, co z tą resztką życia zrobić, co jej jeszcze została. Zamiast nudy wyglądało raczej, że ją ciągle zdziwienie na starość czeka.

Kiedyś wszystkich, teraz to nikogo na klatce nie znała. Pomierali, powyprowadzali się, wnuki mieszkania przejęły, sprzedady, wynajęły. Lokatorzy się cały czas zmieniali, nawet nazwisk na skrzynkach pocztowych już nie było, tylko numery, ludzi jedynie na schodach mijają.

Dodrapała się wreszcie do mieszkania. Cała klatka pewnie słyszała jak sapie, tupie i na półpiętrach na złapanie oddechu przystaje. Trzecie piętro z jej astmą i wagą, stała przed drzwiami i ze zmęczenia oczy jej z orbit wychodziły. Konrad już wiele razy jej proponował, żeby przeprowadziła się do nich do Wieliczki. *Mamo, pokój Błażeja jest wolny, na studia pojechał*, mówił i całą listę argumentów wymieniał, że tak będzie: *bezpieczniej, wygodniej, rozsawniej, rozsądniej*, bez końca tak mógł męczyć. *Stanie ci się coś, mamo, i kto po karetkę zadzwoni; ledwo tam wchodzisz, a windy nie zrobią*, i tak dalej, ale ona nie chciała i już.

– We własnym domu chcę umrzeć – mówiła, jak już miała dosyć rozmowy. Wiedziała, że Konrada denerwują takie komentarze. – Te korzenie się w innej ziemi nie przyjmą. Dopóki sama chodzę, to się nie wyprowadzę.

W mieszkaniu też było duszno – od dachu, to się nagrzewa. Nalała sobie soku malinowego do zimnej wody i przysiadła na fotelu w pokoju stołowym. Włączyła telewizor i patrzyła na rodzinę Mostowiaków, jak się kłóć i godzą ze sobą, ale wszystko to przelatywało obok niej. Kiedy odpoczęła, zmieniła sukienkę na fartuch, wyciągnęła ziemię i doniczki i wyszła na balkon. Na stoliku położyła pelargonie, fioletowe Tarasiukowej i nowe, które kupiła. Ich płatki były aksamitne w dotyku, liście miękkie, pokryte drobnym puszkim, pachniały, gdy je trzęcała. Otrzepała korzenie z ziemi, były delikatne, młode i włożyła z troską w doniczkę. Popatrzyła na niebo, wciąż siwe, które jak pies ogrodnika deszcz przed ziemią trzymało, i zamyśliła się. Pod barierkę balkonu dostawiła dwa stopnie. Weszła na nie, dostawiając stopę do stopy, i wyjrzała przez poręcz. Spojrzała na podwórko, pomyślała o Tarasiukowej, jak z ósmego piętra jak gołąb przed alzheimerem odleciała. Trawnik jej w oczach zawirował.

Telefon zapiszczał i zadrzał na stole w pokoju. Zeszła ze stopni, uderzyła głową w kosz nasturcji, co jej Konrad zawiesił.

– Aj, mówitam, że za nisko – biadoliła pod nosem i skroń sobie dłonią rozcierala.

Opadła ciężko na wersalkę. Dzwonił Konrad. Pytał o to, co zawsze, co u niej, jak jej dzień minął, czy czegoś nie potrzebuje.

– Wiesz co synku – powiedziała i poczuła jak oczy jej wilgotnieją. – Tak sobie myślałam... – zaczęła, ale głos jej w gardle ugrzązł. Patrzyła na rozgrzane ściany, na swoje grube palce całe w ziemi.

– Tak sobie myślałam, że ja to bym się jednak tam do was, do tej Wieliczki, przeprowadziła.

Ustyszała ciszę w słuchawce, a potem bezładny potok słów. Zamknęła oczy. Pod powiekami czuła grudki ziemi.



Fotografia – Anna Matysiak